

Cena Kurjera:

W Warszawie: podana jest nagłówku numeru wieczornego. Na prowincji i w Cesarstwie: opłata za przesyłkę pocztową i koszt ekspedycji wynosi: rocznie rs. 3, półrocznie rs. 1 kop. 50, kwartalnie kop. 75, miesięcznie kop. 25.

Oddzielna przedpłata na jedno tylko wydanie Kurjera ani w Warszawie, ani na prowincji przyjmowaną być nie może.

Numer pojedynczy kop. 3.

Dziś: Barlaama Pustelnika.
Środa: Manseta Biskupa.
Czwartek: Saturniusz Męczenika.
Piątek: Andrzeja Apostoła.

KURIER WARSZAWSKI.

Wychodzi i rozsyła się dwa razy dziennie na Warszawę i na prowincję. W niedziele i święta uroczyste wychodzi tylko rano, w poniedziałki i dni poświęcone tylko wieczorem.

ROK SZESZCZDZIESIĄTY TRZECI.

Ogłoszenia i prenumeratę przyjmuje kantor Kurjera Warszawskiego codziennie od godziny 8-ej rano do 8-ej wieczorem, w niedziele i święta od godz. 10-ej rano do 1-ej w południe.

Wschód słońca o godzinie 7 minut 42.
Zachód " " " 3 " 53.
Długość dnia godzin 8 minut 11.
Ubyło " " 8 " 30.

Wschód księżycy o godzinie 7 minut 40 r.
Zachód " " " 5 " 9 w.
Wysokość wody na rzece Wiśle pod Warszawą stóp 6 cali 2.

Cena ogłoszeń:

Reklamy: za jeden wiersz pierwszy raz 25 kop., każdy następny raz 20 kop.

Nekrologia: za jeden wiersz 15 kop.

Zwyczajne i małe ogłoszenia w numerach porannych, z wyjątkiem niedzielnych i świątecznych, zamieszczane nie będą.

Ogłoszenia do Kurjera przyjmują także Biuro Ogłoszeń Rajchmana i Frendlera, ulica Senatorska nr 18.

Sobota: Eligiusza Biskupa.
Niedziela: Franciszka Ksawerego.
Poniedziałek: Barbary Panny Męcz.
Wtorek: Piotra Chryzologa.

— Numer niniejszy wyszedł z druku o godzinie 5-ej rano.

KALENDARZ.

Widowiska: Teatr wielki: „Lucjaz Lamermooru“ (występ panny Varesi i p. Defalco — abonament zawieszony) i „Divertissement“. — Sale reductowe: „Cu-deziemiec“. — Teatr mały (przy ulicy Daniłowiczowskiej): „Aby handel szedł“, „Ożenić się nie mogę“, i „Naprzeciwko“. (Godz. 7 i pół wieczorem).

Zniszczona armja.

Strasliwa klęska egipskich wojsk Hicksa baszy pod El Obeid jest wyłącznym prawie dzisiaj przedmiotem powszechnej uwagi w Europie. Wypadek zwycięstwa prawie co do nogi przeszło dziesięcioletniej armji należy do rzadkich zjawisk w historii współczesnej i możliwym jest prawie dziś już tylko na wschodzie — na owym wschodzie, kędy wszystko przybiera tak łatwo rozmiary gigantyczne.

Zanim naoczni świadkowie opowiedzą tragiczne dzieje bezprzykładnego pogromu, przytoczymy głos świadka naocznego tej chwili, w której Hicks basza z armją swoją wyruszał na nieszczęsną wyprawę.

W „Czasopiśmie wiedeńskim dla spraw Wschodu“ sir M. L. Hansal taki kreśli jej obraz:

Chartum d. 12 września 1883.

Według powziętego planu przygotowania wojenne musiały taki wziąć obrót, aby wyprawa na Kordofan z początkiem września opuścić mogła Chartum.

W oznaczonym terminie skocentrowano cały tren wyprawy w obozie pod Omdurman, naprzeciw miasta: konie, muły, wielbłądy, zboże, skóry itp.

W sobotę d. 8 b. m. generał Hicks, który po odwołaniu dawniejszego dowódcy Sulimana baszy na gubernatorstwo w Massawie, objął naczelną ko-

mendę, odbył przegląd całego korpusu ekspedycyjnego, przyczem wojska pojawiły się w zupełnym rynsztunku polowym.

Na niedzielę dnia 9-go b. m., godzinę 6-tą zrana, naznaczono wymarsz. Udałem się dniem wprzód o zmroku z kolegą moim, Marquetem, do obozu pod Omdurman, aby przypatrzeć się wyruszeniu wyprawy.

Punktualnie o godzinie 6-ej zrana pierwszy batalion piechoty opuścił bramę twierdzy. Piechota regularna ustawiła się w czworobok. Naprzód jechała konnica pancerna, dalej sztab generalny, za nim szedł jeden batalion, dalej po prawej i lewej ciągnęły się dwa długie szeregi piechoty, otaczającej artylerję, potem znowu batalion, zamykający czworobok, i oddział kawalerji.

Dotąd sięgało wojsko rzeczywiste. Dalej następowały wielbłądy, strzeżone i prowadzone przez baszybuzuków. Pochód zamykała jazda nieregularna.

Formowanie się ordynku trwało przez półtorej godziny; o godzinie wpół do ósmej wspaniały pochód wyruszył. Szyk powyższy zachować miano przez całą drogę, ażeby ubezpieczyć się przed wszelakim napadem.

Cała siła armji Hicksa baszy wynosiła 6,000 piechoty, 4,000 baszybuzuków, 20 dział (w tej liczbie 4 Kruppa, 6 kartaczońce Nordenfeldta i 10 armat górskich), 500 koni i 5,500 wielbłądów.

Pierwszą część drogi ciągnie się wzdłuż Białego Nilu aż do Duem i potrwa dziesięć do dwudziestu dni. Na przestrzeni z Duem do Kordofanu jen. Hicks ma założyć sześć fortów z magazynami żywności (dépôts), z którymi armja operacyjna będzie utrzymywała ciągiły związek.

O żywności dla wojska i zwierząt pomyślano zawczasu. Jedyną tylko kwestją nierozwiązaną budzi najpoważniejsze obawy t. j. kwestja wody do picia. Czy wyprawa znajdzie takową? A jeżeli tak, czy nieprzyjaciel jej nie zatrui? Kazano w arsenałe przysposobić pompe na 50 metrów głębokości; ale,

ażeby wodę z łona piaszczystej pustyni wydobyć, potrzeba wiercić dopiero studnie. W Kordofanie zaś wody doszukać się można zaledwo w głębokości 40 metrów. I czyż jedna pompa wystarczy na wydobywanie dostatecznego zapasu? Niema świdrów i niema telegrafu polowego.

Przed upływem miesiąca wojska staną w Kordofanie. W ciągu dwóch przyszłych miesięcy muszą rozstrzygnąć się losy (niestety! już się rozstrzygnęły! *przyp. red.*). Jeżeli armia egipska zwycięży, póki w takim tylko razie utrwali się, gdy mahdi zostanie zgładzony ze świata. Jeżeli zwycięży, natenczas panowanie Egipcjan w krajach Sudanu skończyło się. Jeżeli mahdi nie przyjmując walki, cofnie się w niedostępne siedliska zachodnich plemion niezawisłych, kędy wśród fanatycznej ludności znalazłby bujną glebę dla politycznych konspiracji, natenczas wiek cały przemienie, zanim powróci ład na tych obszarach.

Obawa jest tem większą, że i z północnych prowincyj Hadendoa i Bizarin nadchodzą wieści o wzburzeniu umysłów. Plemiona te od roku trudniły się przeprowadzeniem wojennych transportów egipskich z Suakim do Berberu, a nie otrzymawszy przyrzeczonej nagrody, zbuntowały się. Faktem jest, że i tam maćci wodę „wezir fałszywego pro-roka“.

W przeszłym miesiącu Suliman basza, udający się do Suakim, został pod Sinkatem wraz z 250-ciu towarzyszami zamordowany.

Pocztowa komunikacja z Suakim od trzech tygodni zamknięta: morze Czerwone jest zapartem dziś dla nas. Oibrymie zapasy towarów, przeznaczone dla Chartumu, od roku leżą w Suakim. Przywrócenie komunikacji pomiędzy Chartumem, Berberem i morzem Czerwonym, powinno leżeć na sercu tych, których los Sudanu interesuje. Inaczej przepadliśmy tu wszyscy.“

50)

ZAKŁĘTY DWÓR.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

Walerego Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Ta pewność niezbita odurzyła i oszołomiła do reszty Juljusza. Niepodobnieństwo było pojąć, dla jakich celów i powodów młoda, szesnastoletnia hrabianka na tak dziwne i awanturnicze narażała się przygody. Sama jedna, w wieśniaczym przebraniu, w towarzystwie prostego kozaka odbywała podróż prostym wozem chłopskim nie troszcząc się o żadne względy przyzwoitości, nie pomna na żadne wymagania stanu, pici i wieku.

Juljusz napróżno łamał sobie głowę. Gubiąc się w labiryncie najróżnorodniejszych domysłów i kombinacji, nie wybrnął z ciemnej zagadki.

— Ta nie do pojęcia, nie do uwierzenia! — szepnął, nie przestając z najdziwniejszymi bić się myślami.

Nareszcie wyjechał z ciasnego wygonu i stanął na rozdrożu między Żwirowem a Buczałami. Kilka chwil przypatrywał się w niemem zamyśleniu ponurym murem dworu, jeżdżąc się poza cieniścią ulicą lipową, a potem skręcił ku Buczałom, ku znanemu nam mieszkaniu mandatarjusza, czyli prześwietnemu dominium w języku urzędowym.

Pan mandatarjusz miał z natury wielki wstręt do ранnego wstania, ale dziś wyjątkowo był już pod pół godziny na nogach, i to nawet w ścisłym u-

rzędowaniu. Bo też ważny wypadek wyrwał go z łóżka.

Dwóch strażników finansowych stawiło się w dominium, wcale nie powszednie wnosząc zażalenie.

Zatrzymali w drodze jakiegoś przejeżdżającego maziarza, a podejrzewając go o kontrabandę, chcieli przetrząść jego wózek. Ale maziarz oparł się temu żądaniu, a pochwytywszy lusznę od wozu, stanął w zaciętej obronie. Akcyzniki dobyli szabel, maziarz poprzestął na swojej broni. Wszczęła się zawzięta walka, jeden z akcyzników oberwał potężnego guza w czoło, drugi dwa zęby wypluł z krwią i pianą, a maziarz lubo szablą lekko zadraśnięty po twarzy, bronił się zawzięcie i ani myślał uleść. Strażnicy wdali się w układy. Zrzekając się już regresu za postradane zęby, a otrzymane w zamian guzy, chcieli tylko okupu za kontrabandę, ale i na to nie przystawał rozbójnik maziarz.

Poturbowani strażnicy chcieli już ze względów strategicznych zatrzeć na na ogólną retyradę, kiedy w tem zjawia się na gościńcu dwóch huzarów, jadących gdzieś na egzekucja.

Tak silna pomoc niespodziewana, musiała złamać zuchwały upór mniemanego kontrabandzisty. Poddał się po krótkim namyśle, ale tylko huzarom i pod ich też zasłoną przybył w towarzystwie swych przeciwników do dominium.

Pan mandatarjusz ubrał się na prędce i z przynależną powagą przystąpił do urzędowania. Obie ręce wsadził do kieszeni, brzuch wypiął naprzód, brwi podciągnął aż pod samą czuprynę, wasy naszczurzył na obie strony i w takiej imponującej postawie słuchał zażalenia pokrzywdzonych, rzucając od czasu do czasu ukośne spojrzenie na szanownego swego aktuarjusza, pana Gustawa Chochełkę, który z najeżonemi bakenbardami, z niezbędną nigdy pa-

rą krochmalnych kołnierzyków, z zwykłą swą uroczystą nadętą miną rozsiadł się przy brudnym stoliku, i na przelamanym w wpół arkuszu papieru nakreślił w pośrodku wielkimi literami: *Protokoll*.

Pan mandatarjusz wysłuchał do końca opowiadania strażników, a teraz dopiero zwrócił się do winowajcy, który niemy i nieruchomy stał w kacie, jakgdyby nie troszczył się wcale o to, co się dzieje w okolo niego.

— Gdzież jest ten łotr? — zapytał pan mandatarjusz z surowym naciskiem.

Maziarz wystąpił naprzód. Rysy twarzy jego kryły się nietylko pod gęstym dokoła zarostem brody i licznymi plamami mazi, ale i pod grubą chustką płócienną, którą dla odniesionego zadraśnięcia tak jakoś niezręcznie owinał całą głowę, że tylko dwoje siwych, ruchliwych, iskrzących oczu wyzierało z swych głębokich jam.

Z samych tych oczu poznać łatwo naszego znajomego kuma Dmytra.

Mandatarjusz spojrział na niego bystro, ale aż o krok wtył cofnął się przed jego wzrokiem.

— A to jakiś szubienicznik — mruknął — roz bójnik na wielki kamień!

Biedny pan mandatarjusz ułożył sobie już w myślach, z jakiej strony dobrać się *ante omnia* do podróźnej kabzy winowajcy, a to jedno spojrzenie zupełnie pomieściło mu szyki.

— Hm, hm — krzyknął i jeszcze się groźniej nasrożył.

— Hm, hm — wtórował Chochełka, jakby przypominając, że już ukończył nadglówek protokółu.

— Jak się nazywasz? — zagadnął mandatarjusz oskarżonego.

— Dmytro Czaczala.

Ochrony w Warszawie.

W tych dniach zostały dopełnione wybory członków do wydziału sierot i ochron przy warszawskim Towarzystwie dobroczynności.

Skład osobisty tego wydziału na r. 1884-ty przedstawia się jak następuje: prezes wydziału Karol hr. Jezierski, wiceprezes rz. r. st. Przysiański, sekretarz p. Jan Gautier, naczelnik sekcji ochron p. Szymon Krzeczowski, pomocnicy naczelnika pp. Bergman i Jurgielewicz.

Z okoliczności tych nowych wyborów sądzą, iż nie od rzeczy będzie przypomnieć czytelnikom kilka główniejszych choćby szczegółów z historii ochron w mieście naszym.

Pierwszą myśl ich urządzenia rzucił i gorliwie popierał w trzecim jeszcze dziesięcioleciu b. w. Teofil Janikowski.

Projekt ten nie padł na skalę obojętności.

W r. 1838-ym został delegowany za granicę pan Teofil Nowosielski dla zwiedzenia i zbadań urządzeń ochron w Europie.

Po powrocie do kraju, p. T. Nowosielski objął zaraz przewodnictwo nad salą ochrony, mieszczącej się podówczas w gmachu instytutowym, w roku zaś 1839-ym powstała ochrona przy ulicy Kościelnej.

Od tego czasu rozwój pożytecznej tej instytucji był już zapewniony.

W r. 1841-ym założono dwie ochrony—przy ulicy Ogrodowej i pierwszą na przedmieściu Praga, w r. 1844-m przy ulicy Pańskiej, w r. 1845-m było już 5 ochron, a w r. 1859-ym przybyła jeszcze jedna—na Nowolipkach.

Podówczas opiekunami tych zakładów byli, dziś już wszyscy nieżyjący, senator Ludwik Pietrusiński, proboszcz ks. Józef Brocki, Kazimierz Belżyński, Franciszek Scholtz, Stanisław Jachowicz, Kazimierz Nachaźewicz, August hr. Krasiński i Franciszek d'Hauterive.

W szóstym i siódmym dziesięcioleciu praca na tem polu filantropji miejskiej nie ustawała.

W r. 1860-ym poświęcono dwie ochrony — jedną przy ulicy Brzozowej (dziś przeniesioną na Piwną) z opiekunem p. J. Gautier i drugą za rogatkami wolskimi z opiekunem s. p. Ign. Gierzyńskim, w r. 1861-ym utworzono ochronę przy ul. Zajączkowej (obecnie mieści się na Tamce) z opiekunem s. p. Józefowiczem, w r. 1862-m na Chmielnej z opiekunem B. Matiasem, na Nowolipiu z opiekunem Grefkowiczem i na Siennej z opiekunem Henrykiem Natansonem, w r. 1864-ym na Marjańskiej (dziś przeniesiona na Twardą) z opiekunem dr. Julianem Wejnbergiem, w r. 1865-ym na Gęsiej z opiekunem Ludwikiem Szwede, w r. 1871-ym wreszcie powstały dwie ochrony z opiekunem Matiasem Bersonem.

Za dni już naszych inicjatywę w zakładaniu ochron podjęli tutejsi przedsiębiorcy, fabrykanci i w ogóle przemysłowcy, których staraniem i kosztem powstał cały szereg nowych zakładów.

Do takich należą ochrony pp. Jul. Frageta, Her-

mana Junga, Pfeiffrow, Handtkiego, Temlera, Szwedego, Kronenberga, Baumanowej i inne.

Ogółem Warszawa liczy obecnie 26 ochron.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Ministerjum spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie do władz administracyjnych w guberniach, polecające ściśle przestrzegać, ażeby pomieszczenia więzienne były utrzymywane w czystości, pokarmy zaś i woda, przeznaczone dla aresztantów, ulegały bacznej kontroli.

— Ministerjum sprawiedliwości wydało Najwyżej zatwierdzone rozporządzenie otwarcia nowych sądów w kraju zachodnim. Według tego rozporządzenia, otwarcie izby sądowej i sądu okręgowego w Wilnie ma nastąpić dnia 1-go grudnia, sądów okręgowych grodzieńskiego dnia 5-go, kowieńskiego dnia 8-go i mińskiego dnia 12-go grudnia r. b. Jednocześnie z otwarciem sądów mają też objąć swoje urzędy rejenci starsi sądów okręgowych oraz rejenci gubernij wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej i mińskiej.

— Projekt ogólnego spisu ludności w całym Cesarstwie i Królestwie Polskiem, opracowany przez specjalną komisję w ministerjum skarbu, został podany do decyzji rady państwa.

— Komisja trunkowa otrzymała następujący projekt przepisów, które mają zabezpieczyć ludność od demoralizacji skutkiem pijaństwa: 1) powiększyć kary dla osób, ukazujących się na ulicach i miejscach publicznych w stanie nietrzeźwym, oraz uchylić te przepisy, prawa, które przepisują ulgi w karach za wykroczenia, dokonane po pijanemu; 2) zmniejszyć liczbę czasowych jarmarków; 3) w razie wykrycia zakładu trunkowego istniejącego bez patentu, pociągać do odpowiedzialności nie tylko właściciela, lecz i władze gminne miejscowe; 4) w razie niewypłacalności właściciela karę pieniężną ściągać od gminy; 5) popierać rozwój kas oszczędności wiejskich, herbaciarni i stowarzyszeń trzeźwości; 6) zmniejszyć ilość świąt. Nadto projekt zaleca wpływać na włóścian przez urządzenie szkół i szerzenie oświaty.

— Sprawa pobierania dochodów od prywatnych odnóg kolejowych będzie przedmiotem rozpatrywania na najbliższym zjeździe kolejowym. Dotychczas dochód bywa stale oznaczony w kontrakcie kilkoletnim pomiędzy rządem kolei a właścicielem odnogi, obecnie zaś projektowanem jest pobieranie tego dochodu od każdego wagonu wprowadzonego z toru kolei na prywatną odnogę. Oprócz tej sprawy przeglądane będą przyjęte dotychczas warunki kontraktowe łączenia odnogi z głównymi torami oraz do rezolucji dodane zostaną najnowsze przepisy wydziału technicznego departamentu dróg żelaznych o nadzorze budowy odnóg prywatnych.

— Bilans wydawniczy. W tygodniu od 6-go do

12-go października wyszło ogółem 20 książek w języku polskim, wszystkie w Warszawie. W tej liczbie mieści się 6 książek religijnej treści, 4 kalendarze, 4 belletrystyczne, 2 techniczne i 4 drobniejsze. Nankowej więc ani jednej.

— Wystawa plafonu Siemiradzkiego w resursie obywatelskiej, już tylko czas krótki otwartą będzie.

— Ze sztuki. Do salonu p. Krywulca przybyły następujące obrazy: Franciszka Kostrzewskiego: „Las” i „Za ostatniego rubla”; Kazimierza Mireckiego: „Podrzutek”; Arkadiusza Mucharskiego: „Mam cię” i „Biedaczek”, oraz Stanisława Kostrzewskiego portret.

— Konkurs nierozstrzygnięty. W swoim czasie donosiliśmy, iż redakcja *Biblioteki Warszawskiej* ogłosiła konkurs literacki na temat „Wzór obywatela współczesnego”. Po upływie terminu wyznaczonego dla składania odnosnych prac, redakcja odbyła w dniu 24-ym b. m. posiedzenie, na którym konkurs wspomniany miał być rozstrzygnięty. Okazało się jednak, iż z trzech rozpraw złożonych redakcji w właściwym czasie, żadna nie odpowiada programowi i warunkom konkursu. Skutkiem tego redakcja podaje dziś do wiadomości autorów, iż prace swoje mogą odebrać bądź osobiście, bądź za pośrednictwem osób upoważnionych. O dalszem zaś przeznaczeniu funduszu konkursowego w ilości 750 rs., powiększonego narosłymi procentami, redaktorowie *Biblioteki Warszawskiej* powezmą wkrótce stanowczą decyzję, która też zostanie w pismach ogłoszona.

— Dostawy szpitalne. Skutkiem rozporządzenia rady miejskiej warszawskiej dobroczynności publicznej, dostawy towarów kolonialnych, to jest herbaty, cukru, kawy itp. przedmiotów, tudzież kolder, trumien, pobielania naczyń kuchennych, dla wszystkich szpitali warszawskich, winni składać deklaracje wprost do zarządów szpitalnych. Byłoby pożądanem, aby konkurencja wywołała dogodniejsze warunki dla pomienionych zakładów. Stowarzyszenie spożywcze „Merkury” powinno wziąć dostawy w swe ręce. Nadmienienie winniśmy, iż szpital na Pradze liczy się także do warszawskiego.

— Wynalazek. Kwestja wynalezienia przyrządu zabezpieczającego od śmierci ludzi upadających pod koła pociągów oddawna zajmuje techników całego świata, tembardziej, iż rozmaite państwa wyznaczyły na powyższy cel znaczne nagrody. Pomimo jednak licznych usiłowań, nie zdołano osiągnąć poważniejszego rezultatu. Obecnie, jak się dowiadujemy, jeden z tutejszych mechaników wynalazł podobny przyrząd, który ma przewagę nad dotąd znanymi. Wynalazca zamierza starać się o patent na swój wynalazek. Co się dotyczy rzeczowej wartości rzeczonoego przyrządu... najlepiej o niej przekonają próby.

— Posiedzenie. W dniu jutrzejszym, o godzinie 5 ej po południu, odbędzie się posiedzenie komitetu

— Czaczala! także nazwisko! — szepnął z uśmiechem politowania Chochelka i z dumą poprawił bakenbardów.

— Zkąd jesteś?... — indagował mandatarjusz dalej.

— Z gór od Skolego — odpowiedział maziarz krótko i stanowczo.

— Co wiesz z sobą — ciągnął dalej mandatarjusz, choć podobne zapytania nie leżały pierwotnie w jego programie.

— Handluje mazią — odpowiedział maziarz jednym zawsze tonem.

— I bakunem — wtrącił jeden z rewizorów.

— Nie mam żadnej kontrabandy.

— Przekonamy się lotrze — zawołał surowo mandatarjusz — zrewidować wózek i jego samego — dodał obracając się do strażników i swego policjanta, który stojąc przy drzwiach w mundurze przerobionym z starej popielatej, brukselińskiej kacybajki pani sędziny, uzupełniał etat urzędników przeciwnej dominii.

Maziarz drgnął cały i niespokojnem do koła powiódł okiem.

Nagle jakaś szybka myśl przemknęła mu przez głowę. Wózek jego stał bez straży na dworze.

Huzary dawno już odjechali napowrót swoją drogą. Twarz mazarza zadrgała gwałtownie w każdym rysie, z oczu strzeliła groźna błyskawica, a cała postawa tak jakoś straszny przybrała wyraz, że mandatarjusz aż o parę kroków cofnął się w tył, a pan Gustaw Chochelka powstawszy na pół z krzesła dla asystowania rewizji co tchu przysiadł napowrót i jakby dla lepszego ubezpieczenia się, potracił nogą skuloną pod stołem sukę legawą, która w dowód oryginalności aktuarjuszowskiej fantazji nosiła nazwę Pepity.

Pan mandatarjusz ochłonął po chwili z pierwszego przestachu i surowo podniósł się na pięty.

Ej lotrze, coż to sobie myślisz?! — zahuczał w gniewie i indagacji.

Maziarz obie ręce zapchał w zanadrze i odskakując w bok szybko jak strzała, lysnął nagle dwiema dubeltowymi krucicami.

— Trupem powalę każdego, kto się do mnie zbliży! — zawołał silnym, gromowym głosem i z trzaskiem odwiódł kurki.

Obadwaj rewizorowie zatoczyli się w sam róg kancelarii, pan sędzia pobladł jak ściana i tak się w jednym momencie zgiał i skurczył, że przysiadł na piętach, a biedny pan Chochelka w jednym momencie znikł z powierzchni jak kamfora. W piekielnym przestachu taką jakąś obronną zajął pozycję, że jedna strona jego najeżonych bakenbardów pomieszała się z ogonem legawej suki.

— Cz... cz... człowie... ku! — zabełkotał mandatarjusz, obie ręce wyciągając przed siebie.

Maziarz dziki wydał wykrzyk i jednym susem poskoczył ku drzwiom.

— Ah! — zawołał mandatarjusz, prostując się stopniowo.

— Oh! — wyjąknęli strażnicy, naprzód wychylając głowy.

— Ufff — zasapał pan Chochelka, zamykając oczy.

Maziarz wpadł na dziedziniec, i zręcznie i zwinnie jak linskok o kilka kroków z dala wskoczył na swój wóz. Pochwycił batog i lejce i z głośnym krzykiem miał już ruszyć z miejsca, kiedy w tem z boku rzucił się policjant i konia powstrzymał za uzdę. Czcigodny wyobraźcieli wykonawczej władzy dominikalnej, wyszedł wcześniej z kancelarii, a nie będąc świadkiem ostatniej sceny, nie postrzegł teraz w zamieszaniu groźnej broni w ręku zbiega.

— Puszcza! — huknął maziarz strasznym głosem.

— Owa rychtyg! — burknął zuchwale wiejski konstabel.

Kum Dmytro znova dziki wydał wykrzyk, który tuż zaraz zmieształ się z grzotem wystrzału.

Policjant powalił się na ziemię jak długi, niepokąlny, leniwy na pozór srokacz mazarza, szalonym rozbiegł się pędem.

— Łapaj! trzymaj! chwytaj! — zagrzmiął w tej chwili mandatarjusz, który za pierwszym turkotem umykającego wozu, odzyskał całą swą energią i odwagę i wypadł co tchu na dwór.

— Łapaj, trzymaj! — wtórowali mu w niebogłosy obadwaj strażnicy Bóg wie na kogo.

Tak głośne i odważne krzyki mandatarjusza i rewizorów, ocuciły odwagę i biednego aktuarjusza. Wyskoczył i z pod stołu, sukę kopnął daleko od siebie w gwałtownym zapędzie pochwycił ukrytą w kącie, sznurkami powiazaną strzelbę, która zwyczajnie na wróble nabita była grochem.

— Gdzie on, daj go tu! — zawrzeszczał na całe gardło i wypadając na ganek, strzelił na oślep w powietrze, po pod samem uchem mandatarjusza.

Nie przygotowany na to pan sędzia, zkadinał wyobraził sobie atak i pewny, że nieznajomy złoczyńca zaszedł go z boku i ugodził kulą znieścacką jęknął głucho i plackiem padł na ziemię.

W tej chwili w progu nowy, przeraźliwy rozległ się wykrzyk. Pani sędzina przestraszona pierwszym strzałem, w jednej chwili porwała się z łóżka, a słysząc nowy wystrzał i widząc męża powalonego na ziemię, runęła także na podłogę, nie pomna na swój lekki kostium.

Pan Gustaw Chochelka skamieniał z przerażenia.

— Jezus Marja — jęknął i przekonany że nie chcąc zabił swego pryncypała, rzucił strzelbę na ziemię i co sił i tchu stało, jął uciekać ku folwarkowi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

opieki nad terminatorami, którzy wychowywali się w zakładzie sierot przy ulicy Freta, obecnie zaś pozostają pod opieką członków warszawskiego Towarzystwa dobroczynności. Na posiedzeniu jutrzejszym zostanie dokonany wybór członków komitetu na rok przyszły.

— Sprzedaż programów podczas koncertu na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego raczyły przyjąć panie: Jadwiga z Komarów hr. Zabieliowa, Marja z Horodeńskich Mazurki z córką Anną, Konstantowa z ks. Golicynów Górska i Anna z Trzebińskich hr. Łubieńska.

— Małoletnia żebraczka. Na rogu Senatorskiej i placu Teatralnego przed cukiernią stała mała dziewczynka natrętnie napastująca przechodniów o jałmużnę. Jeden z naszych znajomych począł żebraczkę badać i dowiedział się, że matka jej jest sparaliżowana i mieszka u szewca na Bednarskiej. Pan S. mając chwilę wolnego czasu, polecił dziewczynce zaprowadzić go do matki, której chce przyjsię z pomocą. Zebraczka, chociaż niechętnie, poszła na przód. Szła ona dość śpiesznie i wyprzedziwszy pana S. na Bednarskiej, począła biec i wkrótce znikła mu z oczu. Widocznie jest to mała oszustka, wyszukująca miłosierdzia publiczne.

— Kradzieże. Z ogólnej liczby 16 kradzieży spełnionych w ciągu trzech dni ostatnich znaczniejsze pod względem wartości przedmiotów były: na Miłej pod nr 2 u S., gdzie skradziono 342 rs. gotowizną; na Senatorskiej pod nr 1 u S. pięć listów zastawnych storublowych, wreszcie na Zakroczymskiej u M. rozmaite klejnoty wartości przeszło 200 rs.

— Rozbiegane konie. Wczoraj przed samym wieczorem rozbiegały się konie zaprzężone do prywatnego ekwipażu w Alejach Ujazdowskich. Przestraszona pani L. wybiegła z powozu i na szczęście oprócz lekkiego potłuczenia, innego szwanku nie poniosła. Powoźcy zresztą skierowali rozrzucone konie, zdołał je uspokoić i powstrzymać.

— Ogień. Wczoraj po 7-ej wieczorem, na Ogródowej pod nr 51, w drewnianej komóreczce, z niewiadomej przyczyny zapaliły się wióry. Czwarty oddział straży ogniowej przybywszy na miejsce, ognia już nie zastał, gdyż mieszkańcy stłumili go sami. Szkoda niewielka, popałała część podłogi i ściany.

— Od papierosa. Na Kruczej w mieszkaniu państwa G. był wieczorek tańcujący, na którym panowie w osobnym pokoju palili papierosy. Gospodyni domu chcąc wypłoszyć trochę leniwych tancerzy, wbiegła szybko do pokoju i treni lekkiej sukni dotknął kilku naprędce rzuconych niedopałków papierosów i zapalek. Suknia zamiast tlić się, od razu zapaliła się płomieniem. Panowie dość przystojni, ogień natychmiast stłumili, narażając się na poparzenie rąk. Sama pani G., oprócz straty sukni, innego szwanku nie poniosła.

— Impromptu. W tych dniach w jednym z towarzystw była mowa o ofiarowaniu przez mormonów Wiktorowi Hugo dwóch hożych mormonek na żony, których sędziwy wieszcz, jak wiadomo, nie przyjął. Jeden z młodszych obecnych poetów odezwał się z przekasem do starszego:

— Gdyby z ofiarą swoją mormoni zwrócili się do pana, z pewnością nie naraziliby się na odmowę!

— Najpewniej nie! — odrzekł zagadniony — tylko że przyjąłbym je nie na żony, ale jako pupilki i starałbym się wydać je za mąż nie podług cywilnego rytuału...

Po chwili zaś wystosował do pytającego następujące impromptu:

Szadzisz ze mnie młodziku, że nad brzegiem grobu,
W piękności czuję jeszcze urok życia wiosny;
Obyś się starał raczej nauczyć sposobu,
By twych uczuć za młodu czerw nie stoczył sprośny.

— Szczególny objaw pamięci.

Pan L. jest starcem blisko ośmdziesięcioletnim, skutkiem czego umysł jego przytępił się cokolwiek, tak, że fakta dotyczące przeszłości przypomina sobie z wielką trudnością.

Pewnej nocy nie mogąc zasnąć p. L. przewracał się na łóżku i rozmaite myśli wirowały po jego głowie...

Stał przed nim niejasny obraz dzieciństwa wraz z osobami, które już dawno spoczywają w grobie.

W takiej zadumie przypominał mu się nagle epizod z czasów, gdy był jeszcze kilkoletnim chłopcem.

Pod wpływem przypomnienia p. L. zerwał się z łóżka, zbliżył do starożytnego biurka stojącego w najbliższym pokoju, otworzył jedną z szuflad, a następnie skrytkę pod nią umieszczoną i wydobyl jakiś przedmiot owinięty w zapleśniały i rozlatujący się papier.

Przedmiotem tym były srebrne sprzączki używane przez mężczyzn do trzewików w drugiej połowie XVIII wieku.

Pan L. tłumaczy, iż rzeczne sprzączki podarował mu przed siedmiesięcioma trzema laty jego dziadek, a jego ojciec schował je zaraz, aby ich, jako dziecko, nie popsuli.

Od tego czasu p. L. nie myślał o nich i przypominał je sobie dopiero po upływie blisko trzech tysięcy lat.

Zaprawdę pamięć okazuje się czasem dziwnie tajemniczą potęgą!...

— Zawsze zapóźno.

Są ludzie, którzy ze wszystkim się spóźniają. Do takich należy pan X. stały mieszkaniec Warszawy, który dożył 40-tu lat w kawalerskim stanie, jedynie z tej przyczyny, że zawsze się spóźniał z oświadczynami.

Jak sam opowiada ze 20 razy starał się o rozmaite panny i wdowy, kiedy jednak zdecydowany wyznawał swoje zamiary matrymonjalne, oznajmiono mu, że jest zapóźno, gdyż panna została właśnie naręczona.

Częściej jednak zdarzało się niefortunnemu konkurentowi, uniknąć nie milego odkosza, kiedy z boku szepnięto mu, że już zapóźno...

Nareszcie po tylu przykrych zawodach p. X. czyni ostatnią próbę i oświadcza się o pewną ubogą panienkę, która na szczęście nie miała jeszcze konkurentów.

Kawaler, chociaż podstarzały lecz pieniężny i z pozycją towarzyską, z otwartymi rękami zostaje przyjęty i naznaczono termin ślubu, dość bliski.

Uszczęśliwiony p. X. nie mógł powstrzymać swojej radości i kogo tylko spotkał ze znajomych powtarzał:

— No widzisz, przecież się raz nie spóźniłem, że nie się i to na pewno.

Rozstając się z życiem kawalerskim p. X. zaprosił w sam dzień ślubu grono dawnych kolegów swobodnego żywota na małe i wczesne śniadanko.

Ślub naznaczony był na 7-mą wieczór, pozostało więc od 11-ej zrana sporo czasu.

Śniadanko pomimo skromnej zapowiedzi było snte, amftrjon gościnny i serdeczny, więc ani się spostrzeżono gdy 4-ta wybiła.

Pan X. podbudzony winem pośpiesza czempredzej do domu, aby trochę wypocząć i przebrać się w uroczyste szaty.

Wiek i nalogi mają przecież swoje prawa.

Stary kawaler przywykły do drzemki poobiedniej, nie mógł się przezwyciężyć, aby chociaż przez kwadransik w fotelu nie uciął małego, jak sam mawiał, sztumerka.

Biedny człowiek, zawiele liczył na swoje siły i nie kazał się nikomu obudzić.

Spał w najlepszej jednej i drugiej godzinie, kiedy nareszcie został zbudzony przez starszego družbę, z którym miał się zjechać w cukierni punkt na 6-tą.

Tymczasem było już wpół do 7-mej, a pan młody chrapie smacznie, jakby nie myślał o ważnej uroczystości dnia tego.

Zaczyna się więc rozpaczliwie pośpieszne ubieranie, a wiadomo, że pośpiech w takich razach opóźnia całą robotę.

Fryzjer nie był zamówiony, biały krawat świeżo dzień przedtem kupiony gdzieś zaginął, trzewiki lakierowane okazały się za ciasne, słowem nadeszło w pół do 8-mej, a p. X. zaledwie do połowy był ubrany.

Posłańcy od rodziców panny młodej przybiegali jeden za drugim, biedny człowiek nie mogąc już znieść tylu przykrych wzruszeń, pada i... mdleje.

Przyzwany lekarz zaopiniowałatak sercowy, który w ciągu kilku godzin powtarzał się kilkakrotnie.

Naturalnie o ślubie w takich warunkach mowy być nie mogło...

Panna młoda dowiedziawszy się o wszystkim i uważając to całe małżeństwo tylko z punktu zimnego rozsądku, stanowczo, pomimo perswazji rodziców, niezgadza się na zaślubienie niefortunnego kawalera.

Pan X., obecnie wyzdrowiawszy, strasznie wychudł, wymizerniał i dał stanowczo za wygraną wszelkim matrymonjalnym zamiarom, powtarzając:

— To już takie moje szczęście, zawsze musiałem się spóźnić...

— Kobieta pat-aug.

W szpaltach dzienników od kilku dni napotyka my następujące ogłoszenie:

„Poszukuje miejsca gospodyni 27 lat wieku licząca, milej powierzchowności, energiczna, znająca się znakomicie na gospodarstwie wiejskim i kuchni oraz praniu, czesze elegancko damy i panów, w wolnych chwilach może być lektorką w językach polskim, rosyjskim, francuskim i angielskim, grać do tańca, w lecie uczyć pływać dzieci i dorosłe osoby, może zupełnie wyręczyć panią w domu”.

Dama ta żywo przypomina słynne noże do ośmiu użytków, które na „placu” warszawskim tak niefortunne zrobiły fiasco.

— Troskliwy stryjaszek.

— A więc powiadasz, kochany doktorze, że ze mną nie tak źle?...

— Owszem... zupełnie dobrze — jesteś pan ocalony!

— No, jeżeli tak, to bądź tak dobry i zakomunikuj tę wiadomość memu synowcowi... ale ostrożnie, żeby nieborak nie zachorował ze zmartwienia.

— Usłużność.

Wyjeżdżający gość. Cóż to? Policzyliście mi za użycie windy, a przecież mieszkałem na parterze?

Kelner. Taak! to jaśnie pan tylko połowę zapłaci.

— Myśli.

... Kto cię pierwszy raz oszuka — źle czyni; kto cię drugi raz oszuka — ten czyni tylko na co sam zażył...

... Gdy jesteś w stanie pomódz obiema rękami, nie pomagaj jedną tylko...

... Strzeż się bliźniego jak siebie samego...

... Nie przelaż nigdy przez płot, gdy wrota otwarte...

— Elektryczność w Płocku. Niedawno podaliśmy szczegóły kontraktu, zaproponowanego magistratowi m. Płocka przez towarzystwo oświetlenia elektrycznego. Obecnie donoszą nam, iż władza miejska powołała komisję, mającą rozstrząsnąć kontrakt i zaproponować ostateczną jego formę. Do komisji tej weszli pp. dr Wł. Drzyżowski, dr M. Ehrlich, inżynier St. Oraczewski, dr Wł. Ostrowski i p. Z. Rościszewski, redaktor *Kor. płoc.* Komisja prace swoje już ukończyła, jej eleborat zaś został przez miasto przyjęty i po zatwierdzeniu go przez przedsiębiorcę, pójdzie na drogę urzędową.

— Nowa fabryka. Z hrubieszowskiego donoszą *Gaz. lub.*, iż w jednym z miejscowych majątków, mianowicie w dobrach p. Pohoreskiego, powstaje wielka gorzelnia. Zakład ten ma spożytkowywać rocznie około 60,000 korcy kartofli.

— Z Wilna donoszą nam o szczegółach otwarcia instytutu oftalmicznego wzniesionego przez p. Marję Przedziecką, z funduszu hr. Tyzenhauza. Instytut wybudowano w pobliżu Ostrej Bramy i dotąd główny gmach ukończono. Na dole mieszczą się kuchnie, wanny i służba. Na piętrach cele dla chorych. Znajduje się oprócz tego sala operacyjna i ambulatorjum, oraz kaplica. Z kuchni prowadzą na górę windy; schody wszędzie żelazne i kamienne posadzki, tak samo jak ściany pomalowane olejno. Meble już są na miejscu; brakuje dotąd bielizny i pościeli. Przyjmowanie chorych rozpocznie się od Nowego Roku. Łóżek ma być 30.

— Truciele. W tych dniach na ławie oskarżonych w sądzie okręgowym kieleckim zasiadła właścianka ze wsi Skroniowa, Katarzyna Lato wraz z dwoma współnikami zbrodni otrucia własnego męża — Andrzejem Bartkiewiczem i Wawrzeńcem Gładą. Katarzyna pragnąc poślubić Bartkiewicza, a będąc już zamężną, postanowiła pozbyć się przeszkody i przy pomocy kochanka otruli męża. Trucizny dostarczył stróż apteczny Gład. Atropina podana w potrawach obiadu poskutkowała, lecz ekspertyza z łatwością też ją wykryła. Winni przyznali się od razu do zbrodni. Skutkiem tego sąd skazał Katarzynę na lat 12 do robót w kopalniach, Gładę zaś i Bartkiewicza na lat 8 do robót w fortcach.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

— Panu Z. F., weterynarzowi. — Kwestji tej nie poruszałimy, więc polemiki o nią prowadzić nie będziemy.

— Panu J. W. — Myśl pańska bierzemy pod rozważę i będziemy się starali wprowadzić w wykonanie.

— Ad vocem populi z okolic ulicy Żelaznej. — Wolańie nasze o budowę chodników na ulicy Żelaznej, pomiędzy Chłodną i Lesznem, byłoby głosem wołającego na puszczy wobec stanu chodników na Krakowskim-Przedmieściu i innych przyneypalnych ulicach.

— Ks. Jaś... z Miedzanej. — Sprawa nieprawidłowego kursowania wagonów kolei konnej była już niezliczoną liczbę razy poruszana, poruszanie zaś drugiego punktu wymienionego w liście nie odniesie najmniejszego skutku.

≡ W sobotę dnia 24 b. m., o godzinie 7-ej wieczorem, w kościele św. Józefa (po-wizytowskim), pobłogosławiony został przez Jks. Szezechiego związek małżeński, zawarty pomiędzy panną Janiną Buszman, córką s. p. Aleksandra, b. dyrektora komory w Sosnowcu i Karoliny z Gutmanów małżonków Buszman, a panem Stanisławem Bodner, urzędnikiem przy namiestnictwie w Galicji. (3989)

NEKROLOGJA.

+ s. p. Leontynka Daszewska, córeczka Zdzisława i Stefanji z Pszczółkowskich Daszewskich, w 9 roku życia, po ciężkich cierpieniach, przeniosła się do wieczności w dniu 26 listopada r. b. Dotknięci boleśnią tą stratą straszkani rodzice zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na żałobne na-

Redaktor Władysław Szymanowski. — Sekretarz Redakcji Tadeusz Czapelski. — Wydawca Gustaw Gieothner.